

Katarzyna Stępień

Filozofia i góry : rozmowa z Krzysztofem Wroczyńskim

Człowiek w Kulturze 13, 267-277

2000

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Filozofia i góry

Rozmowa z Krzysztofem Wroczyńskim

Î

Wiem, że od lat wspinał się Pan w różnych górach i interesował alpinizmem. W Himalaje wyjeżdża Pan do dziś. Jak się to ma do zawodu filozofa?

Między pracą intelektualną i sportem nie ma żadnej sprzeczności. Wprost przeciwnie - można dostrzec subtelny związek. Sw. Augustyn twierdził, że jeśli ktoś zajmuje się wyłącznie rozwojem duchowym i intelektualnym pomijając rozwój fizyczny, to jest po prostu leniwy. Ja podzielam ten pogląd i wydaje mi się, że praca intelektualna wręcz wymaga wysiłku fizycznego. Taki pogląd jest powszechny w wielu kulturach, zwłaszcza Wschodu, a współcześnie jest raczej powszechny na całym świecie. Problem, jeżeli jest, to polega na czym innym. A mianowicie, po pierwsze, czy ów wysiłek fizyczny powinien mieć charakter wyczynowy i, po drugie, co ważne w moim przypadku, dlaczego właśnie alpinizm.

Gdy chodzi o pierwsze pytanie, to sądzę, że jest to kwestia indywidualnego wyboru. Sport wyczynowy wymaga ogromnego wysiłku i czasu, ale ma takie zalety, które wysoko cenią również ludzie nauki, pióra, sztuki, a nawet duchowni. Ja zafascynowałem się alpinizmem już w szkole, i to za sprawą kilku kolegów-pasjonatów. Nie dokonywałem więc specjalnie świadomego wyboru, ale alpinizm mnie wciągnął i odpowiadał mi psychicznie. Zresztą uprawiałem i inne sporty, na przykład szermierkę.

Alpinizm to sport bardzo niebezpieczny, dla wielu ludzi wręcz tajemniczy czy wyjątkowy...

Owszem, to prawda. Alpinizm jest niebezpieczny. Ale odpowiedź na to pytanie nie jest prosta. Może zacznę od pewnej uwagi. W dawnej terminologii, gdy zaczynałem się wspinać, funkcjonowało jeszcze pojęcie sportów heroicznych i niestadionowych. W tych sportach, jak sądzono, człowiek walczy sam lub w niewielkiej grupie, gdzie trudno było obserwować wysiłek, który był w dodatku niewymierny. Dziś rzadziej się takich określeń używa. Po pierwsze, coraz więcej sportów jest stadionowych, nawet tych bardzo elitarnych. Dzieje się tak z przyczyn obiektywnych. Dzięki technice można obserwować zmagania nawet bardzo niedostępne. Z drugiej **strony** pojecie **SDortów** heroicznych, do których zaliczano między innymi alpinizm, baloniarstwo, żeglarstwo dalekomorskie, zdobywanie nieznanych części globu itd., jest nieco anachroniczne. Choć myślę, że sam problem heroizmu walki sportowej w jakimś stopniu istnieje. Na moje pokolenie końca lat sześćdziesiątych ten aspekt alpinizmu bardzo oddziaływał. Widoczne to było choćby w etosie taternika.

Gdy chodzi natomiast o niebezpieczeństwo, to myślę, że dzisiaj większość sportów wyczynowych jest niebezpieczna dla zdrowia, a nawet życia. Trudno więc powiedzieć, aby alpinizm był tu czymś bardzo wyjątkowym. Jeśli jest taki, to z uwagi na statystyczne wysokie procent ryzyka oraz okoliczności wypadków. Są one niekiedy błahe czy wręcz „głupie”, nieprzewidywalne, wyjątkowo „niepotrzebne” itd.

Jednakże warto zauważyć, że gdy chodzi o niebezpieczeństwo wyczynowego chodzenia po górach, to zrazu owo niebezpieczeństwo nie jest tak widoczne, zwłaszcza że alpinista nie jest bezbronny (ma sprzęt, doświadczenie, partnerów, nadto przyzwyczajają się do tradycyjnych dla tego sportu okoliczności, jak wysokość, zmiany pogody, ryzykowny teren itd.). Góry wydają się przyjazne. Dopiero z biegiem czasu, obserwując statystyki, analizując sytuacje innych alpinistów i własne, powiedzmy „graniczne”, niebezpieczeństwo zaczyna się w pełni dostrzegać. Może to trochę tak jak z jazdą samochodem.

Alpinizm wiąże się zatem z ryzykiem. Czy to ryzyko tak pociąga?

Dla mnie taternik czy alpinista to oczywiście człowiek odważny (nie historyk), zdecydowany, zaradny, ale nie ryzykant. Alpinizm nie polega na ryzykowaniu, a przeciwnie - na umiejętności unikania ryzyka. Alpinizm to sztuka i daje satysfakcję, gdy zna się reguły. Ryzyko przychodzi jakby z zewnątrz, czy to obiektywne, czy subiektywne.

Nie ma ryzykantów?

Są oczywiście. To sprawa po trosze charakteru. Ale nie na tym polega sztuka.

Istnieje opinia, że alpinizm, a zwłaszcza himalaizm wymaga znacznej tężyzny fizycznej, odpowiednich przygotowań. Na czym one polegają?

To prawda, że alpinizm wymaga fizycznego przygotowania i ogólnego zdrowia. Sprawnościowe przygotowanie do wyprawy to na ogół domena indywidualnej aktywności uczestników, a przy wyczynowym traktowaniu, zwłaszcza himalaizmu, aktywność dość skomplikowana. Przygotowanie obejmuje różne sprawy. Nie tylko siłę mięśni czy wytrzymałość. W każdym razie jadąc na wyprawę nie można być „przetrenowanym”. Nigdy nie wiadomo, ile sił trzeba będzie wykrzesać. Trzeba mieć ich zapas, i to spory. Nie można być przygotowanym na 90 czy 120 minut.

Wysokogórskie wspinaczki mogą być wspaniałą okazją do pracy nad charakterem. Jaki jest wpływ uprawiania tego typu sportu na kształtowanie charakteru?

Każdy sport jest szkołą charakteru. Wymaga wytrwałości, wyrzeczeń, uporządkowanego trybu życia itd. Ale też i każdy sport wyrabia cnoty specyficzne; alpinizm, a zwłaszcza himalaizm, również takie sprawności kształtuje, szczególnie u ludzi młodych. Sądzę, że oprócz oczywistych sprawności psychicznych i fizycznych, takich jak odpowiedzialność, wytrwałość, opanowanie, niepopadanie w histerię w sytuacjach

trudnych itd., alpinizm i himalaizm wymaga, co szczególnie chciałbym podkreślić, umiejętności współdziałania w zespole w trudnych warunkach wewnętrznych i zewnętrznych. Od dobrze dobranego zespołu ogromnie dużo zależy. Trudne warunki górskie sprzyjają nieporozumieniom, niepotrzebnymi kłótniom. Dlatego rola kierownika wyprawy jest tak ważna. Ponadto chciałbym podkreślić odpowiedzialność i zaufanie. Zwykle bowiem w warunkach górskich jedynym człowiekiem, który może pomóc, jest partner. Tu nie ma lekarzy, masażystów, karetki pogotowia. Ale to bardzo łączy ludzi.

Mówił Pan o alpinizmie i jego specyfice sportowej. Rozmowa jest „obiektywna”. Ale czy można zadać pytanie bardziej osobiste i bardzo banalne: dlaczego Pan chodzi w góry? Wciąż do nich wraca, choćby tylko we wspomnieniach...

Dlaczego chodzę w góry? dlaczego się wspinam? Te sprawy są dla mnie bardzo bliskie, ale nie identyczne. Nieidentyczne dlatego, że wrażenie robią na mnie każde góry, i to od dziecka. W szkole chodziłem po Beskidach, na Piłsko i Babią Górę, w Gorce, Beskid Sądecki, później w Sudety. Uwielbiam Góry Świętokrzyskie i zawsze gdy je przejeżdżam w drodze do Tatr czy z innych powodów mam wrażenie, że znów jestem w górach. A przecież nie ma tam mowy o alpinizmie. To samo oczywiście odczuwam również w górach wysokich. Jest to jakaś mistyka gór, o której mówiło wielu ludzi, poetów, myślicieli, malarzy. Czuję z nimi pewne pokrewieństwo. Jest w górach jakieś piękno, które chce się zdobyć, zachować. Inaczej się tam myśli i odczuwa. Nie należę zatem do ludzi, którym góry zasłaniają widok.

Alpinizm jest już, jak dla mnie, nieodłącznie związany z odkrywaniem i zdobywaniem, z pokonywaniem obiektywnych trudności we wspinaczce i pokonywaniem własnej słabości fizycznej czy psychicznej. To jest pewna sztuka. Może właśnie ta cecha łączy różne wspomniane postaci alpinizmu, poczynawszy od wyczynowego zdobywania nowych szczytów i ścian w różnych częściach świata, a skończywszy na wspinaczkach na sztucznych ściankach. Oczywiście w pełni realizuje się to w warunkach górskich.

Dlaczego się wspinałem, jeździłem w góry i wracam do tego? Może dlatego, że takie wyprawy zawsze traktowałem serio. To nie była jedynie rozrywka czy rekreacja. Oprócz czysto sportowej rywalizacji, zawsze obecnej, każda górską wyprawa „naśladowała” niejako sytuację życia codziennego; dawała poznanie siebie, kolegów, sztukę osiągnięcia celu, a również gorycz porażki. Każda wyprawa to ciąg zdarzeń logicznie powiązanych, poczynszy od planów i szczegółowej analizy celu, decyzji, doboru partnerów, trudności związanych z realizacją, wreszcie analizy tego co się stało i trzeźwej oceny - czasami radosnej a czasami gorzkiej. Traktowałem to serio tym bardziej, że owo „naśladownictwo” posunięte było do granic... Wiele razy znajdowałem się w sytuacji „granicznej” i nigdy bym tych sytuacji nie oddał, chociaż czasem się przyśnią i nie są to sny przyjemne. Dla mnie zawsze był to znak, że trzeba wrócić w góry.

II

W ostatnich latach kilkakrotnie wyjeżdżał Pan na wyprawy w Himalaje, i to odnosząc sukcesy. Czy mógłby Pan coś o nich opowiedzieć? Jak dochodzi do zorganizowania takich wypraw? Przecież jest to zbiorowy wysiłek...

Ściśle mówiąc sukcesy odnosi zespół. Konkretny uczestnik niewiele by dokonał bez kolegów. Tak jest zresztą we wszystkich sportach zespołowych. W przypadku naszych wypraw o taki wysiłek chodziło - właśnie zespołowy. Historia natomiast moich wyjazdów w Himalaje sięga 1982 roku, kiedy to wstąpiłem do Mazowieckiego Klubu Górskiego „Matragona”, założonego i kierowanego przez Andrzeja Zboińskiego. Od tego czasu uczestniczyłem w kilku wyprawach organizowanych przez Zboińskiego i rzeczywiście odnosiliśmy sukcesy. Gdy chodzi natomiast o zebranie zespołu, to jest zawsze sprawa otwarta. Decyduje kierownik, a członkowie wyprawy mogą być z różnych środowisk. I tak faktycznie było. W ostatnich wyprawach członkowie Klubu stanowili nawet mniejszość na wyprawie.

A więc wyprawy w Himalaje organizuje jakiś ośrodek czy klub jak ten wspomniany wyżej?

Niekoniecznie. Dzisiaj jest duża swoboda w organizowaniu wypraw. Mogą być wyprawy całkiem prywatne, organizowane przez alpinistów, którzy się znają i chcą coś zdobyć. Decydują pieniądze. To prawda, że czasem łatwiej zdobyć sponsorów przez instytucje. Zwłaszcza gdy cel jest bardzo ambitny i wykupienie zezwolenia na zdobywanie szczytu jest wysokie. Przeważnie jest to wówczas najdroższy element wyprawy. No, ale pieniądze to inna sprawa...

A jakie były cele członków klubu?

Himalaje są ogromne. To są tysiące kilometrów gór. Istnieje przekonanie, że ciekawych i oryginalnych celów (również pierwszych wejść) starczy na wiele lat. Ilość szczytów ośmiotysięcznych jest oczywiście ograniczona (czternaście), ale gdy policzyć wierzchołki ośmiotysięczne, to jest ich więcej (około dwudziestu dwu). Można więc sobie wyobrazić, ile jest siedmiotysięczników i sześciotysięczników. I ile jeszcze niezdojrzanych... A przecież himalaizm to nie tylko szczyty do zdobycia, to ściany, granie, filary itd.

Mówię o tym dlatego, że wybór celów może być różnorodny. Według różnych kryteriów. Czasem bywa przypadkowy. Jest po prostu taka okazja. Nasz wybór padł na niewielki masyw w Himalajach zachodnich o nazwie Lahul w Himachal Pradesh, czyli hinduskim stanie o nazwie Himalah. Ja nie uczestniczyłem w tym wyborze, gdyż Andrzej Zboiński z „Matragoną” rozpoczął eksplorację tego rejonu już w latach siedemdziesiątych, ale po tragicznej próbie polskiej penetracji tego całkiem nieznanego rejonu przez wyprawę z Lublina (1977) to zostało zaniechane. Zginęło wówczas dwóch uczestników wyprawy. Mają oni dzisiaj symboliczne pomniki we wsi Bathal w Lahul. Pamięć o nich jest do dziś bardzo żywa. My podczas jednej z wypraw także odwiedziliśmy Bathal.

A więc Lahul był masywem nieznanym?

Zupełnie. Żaden z kilkunastu sześciotysięczników masywu nie był zdobyty, a o tym, że w ogóle istnieje, wiedzieli tylko miejscowi. Ponadto Brytyjczycy, którzy próbowali przeprowadzić tamtędy swą drogę imperialną jeszcze przed wojną (do Afganistanu prawdopodobnie), i Amerykanie ze zdjęć satelitarnych. Zdobyć informacje o masywie było bardzo trudno. Trochę pomagało szczęście. Obecnie, po dwudziestu latach wiedza jest bez porównania większa, a w Lahul przed dwoma laty spotykaliśmy już grupy Holendrów i Brytyjczyków na rowerach górskich. Gdy chodzi o alpinizm, to Polacy mają tu swą piękną kartę. Nie przegraliśmy rywalizacji.

A zatem Pan włączył się do tej rywalizację?

Tak. Miałem spory staż górski i doświadczenie (ale nie himalajskie) i zespół przyjął mnie z zadowoleniem. Przez te lata zawarłem tam wiele przyjaźni, poznałem oczywiście zachodnie Himalaje i Wschód. To ważne. Nie jedzie się tak po prostu w Himalaje. Jedzie się do krajów Wschodu, które mają swój koloryt i zapach. Oprócz alpinizmu wszyscy poznawaliśmy z emocją Indie. Ale tak robią wszystkie wyprawy. Urokowi Wschodu trudno się oprzeć.

Czy mógłby Pan coś bliżej o tych wyprawach powiedzieć?

Mógłbym, ale tego numeru pisma by nie starczyło, a może i następnego. Wyprawa to ogromne przeżycie. Każdy szczegół wart jest opowieści: czy to karawana i jej organizacja, czy to podróż w same góry, życie w bazie, zabawne i smutne momenty przy drodze na szczyt, aklimatyzacja. A dla fachowców dochodzi jeszcze wiele, wiele informacji o sprzeczce, warunkach, topografii.

Powiedział Pan, że Polacy w masywie Lahul mają swoją kartę i osiągnięcia...

Polacy mają swoją kartę i pozycję wszędzie w Himalajach. Istnieje nawet anegdota, że gdy wypowie się nazwę narodowości „Polak”, to można dołączyć do każdej wyprawy. Ale mówiąc serio, w Lahul rywalizowały ze sobą wyprawy hinduskie, brytyjskie, polskie i japońskie - wymieniając zresztą informacje i zdjęcia. W 1994 roku ciepło witaliśmy w namiocie Japończyków, którzy wysłali delegację, a następnie przyjęli nas z kurtuazją u siebie kilka razy, dzieląc się wszystkim i dając próbkę japońskich obyczajów. Ale oczywiście była i korespondencja, wymiana doświadczeń.

Ostatecznie zdobyliśmy dotychczas trzy z jedenastu szesciotwsiestników (ja wszedłem na dwa - w 1984 i w 1998 roku) i około siedemnastu szczytów niższych. Pod względem pierwszych wejść chyba wyprzedzamy innych, ale to się zmienia i dziś już może być inaczej. Do rywalizacji włączyli się i inni. Spotykaliśmy Nowozelandczyków, Austriaków, którzy uczestniczyli we Mszach świętych w bazie i byli zaskoczeni, że można mieć na wyprawie kapłana Kościoła katolickiego. A myśmy w zespole mieli księdza, i to doskonałego himalajstę, który wszedł na szczyt jako pierwszy - ks. Krzysztof Gardyna - wraz z Ryszardem Wroną.

Jakie warunki panują w Lahul? Powszechnie wiadomo, że załamania pogody, mróz, lawiny to największe niebezpieczeństwa?

Każda część Himalajów ma swoją specyfikę. I trzeba ją znać. Są oczywiście prawdy generalne. A więc takie jak, na przykład, w jakich miesiącach jest monsun, a w jakich nie; kiedy najlepiej jechać, jakie są warunki lodowcowe itd. Gdy chodzi o Lahul, to jest on w strefie, gdzie monsun nie jest już silny (wytraca wilgoć więcej od wschodu). Ale bywają zmiany i niespodzianki. W każdym razie można do masywu dotrzeć wówczas, gdy w Nepalu i Garwalu na wspinaczkę za wcześnie. To powoduje, że idzie się w pełni lata i niezłych warunkach. Ale na przykład w 1994 roku warunki były fatalne i zdobyliśmy szczyt ostatnim wysiłkiem (Jan Duszczyk, Ravi Kumar). Ja wycofałem

się wówczas 150 m przed szczytem przez błąd techniczny (to też się zdarza).

Gdy chodzi o lawiny śnieżne, to na ogół niebezpieczeństwo jest niewielkie, choć lawiny zawsze są możliwe. Natomiast lawiny lodowe są intensywne, ale jak się wie, gdzie iść - nie zagrażają. Gorzej ze szczelinami. Bywają ukryte i bardzo głębokie (kilkadziesiąt metrów co najmniej), a ponadto trzeba przez nie przechodzić. Mogą być zdradliwe i - szczęśliwie! - wyciągaliśmy już z nich kolegów.

Wspomniał Pan o bazie, w której była celebrowana ofiara Mszy świętej. Rozumiem, że każda wyprawa musi mieć bazę.

Oczywiście. W góry niesie się mnóstwo sprzętu (**jest** wieziony na mułach, jak w naszych wyprawach, lub niosą go tragarze, tak jak w Nepalu). Gdzieś to trzeba złożyć. Zdobywanie szczytu trwa, gdyż trzeba chwycić aklimatyzację. Baza musi być wygodna: z dostępem do wody, nie za wysoko. Życie w bazie to odrębna opowieść. Jest to centrum życia wyprawy.

Czy w czasie tych wypraw przeżywaliście sytuacje szczególnie trudne?

Każda wyprawa ma swoją dramaturgię i momenty trudne są zawsze. Ja na każdej z wypraw miałem chwile ciężkie. To normalne. Wszyscy je mają. Jest jednak faktem, iż nie było żadnego ciężkiego wypadku - a to jest osiągnięcie. Duża, tak myślę, zasługa w tym dobrze dobranych zespołów, atmosfery pozbawionej przesadnych ambicji itd. To zależy od kierownika. Ale oczywiście i inne sprawy wchodzi w grę. Lahul nie jest tak ryzykowny jak inne góry, było trochę szczęścia itd. Myślę, że największe zasługi ma tu Andrzej Zboiński, który kierował wszystkimi wyprawami i zdobywał szczyty.

Ostatnia wyprawa była w 1998 roku. Mają więc Pan na pewno w żywej pamięci. Na czym polegała główna trudność dla Pana subiektywnie? Gdzie był ten moment trudny?

To jest bardzo subiektywne. Zapamiętałem wiele takich momentów. Na przykład noc przed atakiem na szczyt. Atmosfera była ciężka. Jeden z kolegów dostał niebezpiecznych objawów choroby wysokościowej. Trzeba było sprowadzić go na dół. Poszedł na ochotnika Grzegorz Siekierski - doświadczony himalaista. Następnego dnia mieliśmy atakować szczyt. Czekaliśmy na powrót Grzegorza Siekierskiego. W nocy temperatura gwałtownie spadała. Dosłownie z minuty na minutę (z dziesięciu stopni w dzień, do minus siedemnastu stopni w nocy). Przymarзлиśmy do podłoża leżąc w namiocie. Bez Siekierskiego byłoby nam bardzo trudno i fizycznie, i psychicznie. Dopiero późno w nocy usłyszeliśmy chrupot raków po lodowcu. Trudno takie chwile zapomnieć, choć przecież nic się nie wydarzyło. Następnego dnia musiałem kilka godzin iść sam granią. Nie była łatwa ta samotność.

Ale wyprawa zakończyła się sukcesem?

Tak, nawet sporym. Na szczyt weszło sześciu uczestników. To bardzo dużo. Ambicją każdej wyprawy jest, aby jak najwięcej osób zdobyło szczyt. Najpierw weszli ks. Krzysztof Gardyna i Ryszard Wrona, a później mój brat Piotr, jego córka Kasia, ja i Grzegorz Siekierski. To bardzo ciekawy szczyt. Mieliśmy niezłe rozpoznanie, ale było też wiele niewiadomych. Chociaż znajduje się w grani głównej, jest nie-nazwany. Po powrocie wszczęliśmy starania, aby Parlament Indii nadał mu nazwę Urusvati, co znaczy w tłumaczeniu na język polski Światło Jutrzenki i pochodzi od nazwy muzeum fundacji im. Mikołaja Roericha (1874-1947), rosyjskiego malarza, który mieszkał i tworzył w wiosce himalajskiej w pobliżu Kulu w zachodnich Himalajach. Nadanie nazwy to nie jest łatwa sprawa, ale mamy poparcie wysoko postawionych osób.

Czy alpinizm jest u Pana rodzinny, sądząc po składzie zespołu?

Tak można powiedzieć. Trzech braci wspinało się bardzo aktywnie. Michał miał duże osiągnięcia w latach siedemdziesiątych. Teraz na wyprawę wzięliśmy dziewiętnastoletnią Kasię. Dawała sobie radę bardzo dobrze (była w Himalajach pierwszy raz). Śmiałem się tylko, że „pod okiem stryjów”. Ale rodzinne jest u nas chodzenie po górach. To Ojciec był naszym pierwszym przewodnikiem.

Na koniec dwa pytania. Czy Pana filozoficzne zainteresowania mają jakiś styk z Himalajami i czy ma Pan jeszcze jakieś nowe plany w górach wysokich?

Dzięki górcom więcej rozumiem. Tam jest czas na zadumę i czas na działanie. Życie jest w pewnym sensie prostsze. Mogę też spokojnie porozmawiać w namiocie z kolegami. Dużo z tego wynoszę, bo sytuacja jest niezwykła. Poza tym w zespole przydaje się filozof. Czy pojedę? Nie wyobrażam sobie życia bez gór...

Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Rozmawiała Katarzyna Stępień